



W SŁOŃCU



NR. 20.

DODATEK DO TYGODNIKA „Z BLIZKA I Z DALEKA“.

WARSZAWA 16 MAJA 1914 R.

Leopold Staff:

Deszcz majowy.

Słońce świeci, deszczyk pada,
Czarownica się podkrada.

Chodźcie, chodźcie prędzej dzieci!
Z nieba ciepły deszczyk leci.
Maj na ziemi. Deszcz o wiosnie.
Kogo zmoczy, ten wyrośnie;
Świeże trawy skropi rosą,
Będziem po niej biegać bosy;
Będziem wstrząsać mokre drzewa,
Niech nas zlewa, niech nas zlewa.

Pada deszczyk nam na głowy,
Srebrny, złoty, brylantowy,
Iskry, perły i diamenty
Lecą z chmury uśmiechniętej.
To klejnoty, a nie deszcz!
Jeszcze, jeszcze... Jak szeleszcze,
Szepce, szemrze, szumi, śpiewa,
Trawy cieszą się i drzewa.

Róże w srebrze, w złocie, w pasie
Błyszcą, świecą, lśnią i skrzą się.
Kwiaty żółte, modre, białe
I czerwone w kroplach całe,
Jaskry, mlecze, niezabudki,
Fjółki, dzwonki i stokrotki,
Kwiaty pól i kwiaty małki,
Dziatki, bratki i bławatki,
Wszystko razem w żywej rzeszy
Dżdżem się cieszy, dżdżem się śmieszy.
A po ścieżce skacze żaba...
Kto się boi, ten jest baba.

Mkną jaskółki z ostrym świrem,
Pachnie wkoło mokrym żwirem,
Pachnie wkrąg mokremi liśćmi.
„Nuże, dzieci, do dom iść mi!“
Nie pójdziemy, wolim w pole,
Tchórze noszą parasole,
Mazgaj, kto zostanie suchy,
A do domu chcą piecuchy!

Maj na ziemi! Deszcz o wiosnie
 Kogo zmoczy, ten wyrośnie.
 Siedmiobarwna w niebie tęcza:
 Niebo z ziemią się zaręcza.
 A na tęczy wodna panna
 Sieje perły: kwiatom manna!

Promieniste czesze sploty...
 Słońce lśni, czy włos jest złoty?

Słońce świeci, deszczyk pada,
 Czarownica dziwy składa...



Czesław Halicz:

W domu przy ulicy Żórawiej.

ŚWIĘTO WIOSNY.

Na drugim piętrze w domu przy Żórawiej mieszkała starsza osoba, którą wszyscy w tym domu nazywali starą panną.

W istocie nazywała się ona panna Anna Szalska, ale taki już był zwyczaj, że nazywano ją „starą panną“.

Panna Anna Szalska miała pod Warszawą niewielki domek z ogrodem,

do którego wyjeżdżała na wakacje na kilka miesięcy. Przez resztę roku mieszkała w Warszawie, aby nie rozstawać się z małą siostrzenicą, która chodziła na pensję.

Wszystkie dzieci w całym domu bardzo lubiły starą pannę o ślicznych, srebrnych zupełnie włosach i miłym łagodnym uśmiechu.

Nie było w domu dziecka, poczynając od Irenki państwa dyrektorstwa

z pierwszego piętra, kończąc na Walku i Marysi, dzieciach praczki Onufrowej z suteryny, którychby panna Anna nie obdarzyła jakimś kwiatem, lub owocem ze swego ogrodu na wsi. Nawet Jakóbek, „mały żydek“, z którym się inne dzieci bawić nie chciały, także dostawał od niej pachnące kwiaty i smaczne owoce.

W każdym mieszkaniu tego domu, gdzie było dziecko, znajdowała się doniczka kwiatów, ofiarowana przez pannę Szalską.

Dnia 15-go maja wydarzył się jednak fakt, który na długo pozostał w pamięci wszystkich dzieci w domu na Żórawiej.

Panna Anna Szalska urządziła dla wszystkich dzieci „Święto Wiosny“.

A było to tak. Dzień przedtem od samego rana panna Anna ubrała się w swoją czarną, jedwabną suknię i koronkową zarzutkę, w której składała zwykle wizyty i odwiedziła po kolei wszystkich lokatorów domu, którzy mieli dzieci. Była i u państwa dyrektorstwa, rodziców Irenki i u doktora, który miał trzech chłopczyków i ani jednej dziewczynki, i u adwokatowej, gdzie było aż pięć dziewczynek i ani jednego chłopca, i u stróża Marcina i u Onufrowej praczki, i u szwaczki Zweigutowej, matki rudego Jakóbka.

I widocznie posiadała dziwny dar przekonywania, bo wszyscy bez wyjątku przyjęli dla swoich dzieci zaproszenie panny Szalskiej.

Nawet pani dyrektorowa, matka Irenki, która strasznie nie lubiła, aby

jej jedynaczka „wdawała się“ z dziećmi z ulicy, także się zgodziła.

Następnego dnia o 7-ej rano zajechał w podwórze domu na Żórawiej wielki drabiniasty wóz, suło wysłany sianem i ślicznie przystrojony świeżą zielenią.

Boże, co to było pisku, śmiechu, gwaru przy wsiadaniu, tego nawet opisać niepodobna.

Z dorosłych osób była tylko panna Anna Szalska i młoda nauczycielka, panna Zofja, mieszkająca również w domu na Żórawiej.

Wszystkie mamusie żegnały się tak czule ze swojemi dziećmi, jakby te dzieci wybierały się w podróż naokoło świata, a nie do miejscowości odległej o milę tylko od Warszawy.

I tylko było słycać:

— Irenko, jeśli ci będzie zimno, zaraz włóż paltocik.

— Tadzium, nie biegaj zbyt na wsi, bo się zmęczysz, albo upadniesz.

— Ninczko, pamiętaj, żebyś się znowu nie przejadła.

— Olesiu, nie bij się z dziećmi i bądź grzeczny.

A z wozu, który wyglądał już teraz jak barwny bukiet—tyle było w nim jasnych sukienek i różowych, śmiejących się twarzyczek, wciąż dolatywały uszczęśliwione głosy wszystkich dzieci, które jechały święcić „Święto Wiosny“.

— Dobrze Mamusiu, dobrze proszę tatusia...

Ale widać było, że dzieci nawet niebardzo zrozumiały, czego od nich chcieli starsi, tak bardzo pragnęły, aby się rozpoczęła owa podróż cudowna do

zaklętego królestwa, gdzie czeka na nich Królowa Wiosna.

Z początku na wozie zaczęły się pi-
ski i skargi.

— Proszę pani, Staś się rozpycha.

— Proszę pani, Anielka pokazała
mi figę...

— A kiedy on powiedział, że ja
jestem głupia, więc mu dlatego poka-
załam figę...

Ale panna Anna uspokoiła wszyst-
kich, bo powiedziała, że jak dzieci bę-
dą klóciły, to deszcz zacznie padać
i Królowa Wiosna ucieknie za siódmą
górej, za siódmą rzekę. To od razu po-
skutkowało.

Gdy się już dzieci uspokoiły, pan-
na Zofja zaproponowała, aby chórem
zaśpiewać jakąś piosenkę i zaintonowa-
ła swoim dźwięcznym głosem:

Pó brzozowym cichym lesie
Dziewczę idzie, dzbanek niesie,
Niesie dzbanek z malinami,
Z poziomkami, z jagodami.

Okazało się, że większość dzieci
zna tę piosenkę, więc zaraz utworzył
się chór, co prawda niezbyt zgodny
i harmonijny, ale i tak było bardzo
wesoło.

Później poszły inne piosenki. Ta-
ka rzewna i śliczna o tej Kalinie z li-
ściem szerokim, która nad modrym
w gaju rosła potokiem i wesoła o Mać-
ku, który chadzał po wsi z kijakiem
za pasem i wiele, wiele innych.

Ani się dzieci nie spostrzegły, gdy
wóz wyjechał za miasto i zaczął po-
woli sunąć w piasku, to znowu raźnie
turkotać po szosie.

Słońce uśmiechało się promiennie,
patrzac na tę dziecinną gromadkę, a po
niebie płynęły wolno chmurki takie ja-
sne, błyszczące jak ten śnieg, którym
się na Boże Narodzenie przystraja cho-
inkę. Na polach, na łąkach, obok któ-
rych przejechał wóz napełniony dzie-
ćmi, tyle było kwiatów, że raz po raz
odzywały się głosy...

— Proszę pani, ja tylko na chwilę
zejdę, bo muszę zerwać dla mamusi
bukiet chabrow...

— Proszę pani, jakie tu śliczne
czerwone maki, ja tylko jeden zerwę...

— Proszę pani, ja tak lubię sto-
krotki, ja dogonię wóz, jak Bożę ko-
cham, dogonię.

Ale panna Anna nie pozwalała scho-
dzić z wozu, bo po pierwsze nie wol-
no deptać zboża, które ludzie w cięż-
kiej pracy posiali i z którego później
chleb dla ludzi będzie, po drugie tam
u panny Anny w ogrodzie czeka już
na gości Królowa Wiosna, czeka i nie-
cierpliwi się.

Jakoż wkrótce znaleźli się w du-
żym ogrodzie, pełnym kwitnących krze-
wów i kwiatów. W pośrodku tego ogro-
du stał domek, taki maleńki, może pięć,
a może sto razy mniejszy od domu na
Żórawiej, ale napewno milion razy
piękniejszy. Domek był biały, miał czer-
wony dach i zielone okiennice, a po
murze pięły się krzewy róż, z których
niektóre miały białe i czerwone paki.

Na progu domku stała wiejska
dziewczyna, taka urodziwa i tak ślicz-
nie przystrojona w mieniące się paciorki
i wstążki, że dzieciom zdawało się,
że to musi być chyba Królowa Wio-

sna. Dopiero od panny Anny dowiedziały się, że ta dziewczyna nazywa się Jagusia i jest chrześniaczką panny Anny. To im jednak nie popsulo humoru, bo przecież dobrze wiedziały, że Królowna Wiosna gości niewidzialnie w tym pięknym ogrodzie i w tym domku, i w lesie, gdzie mają pójść po śniadaniu na przechadzkę. A zwłaszcza, i to

różowo, chleb wiejski, złoty miód w plasterach i wiele innych dobrych rzeczy. Jagusia z pomocą owej Boczkosi, babiny takiej łęgiej, że się ledwo toczyła i czerwonej jak piwonja, wniosły dwa imbryki z dymiącą się kawą i dzbanuszek z mlekiem.

Stasiek oświadczył, że tego jedzenia to wystarczyłoby na trzy pułki żoł-



jest najważniejsze, w sercach tych wszystkich dzieci gościła tego dnia wiosna.

Jagusia oznajmiła pannie Annie, że wszystko już przygotowane i że Boczkosi „galancie udały się baby“.

Jakoż istotnie w jednym pokoju, w którym były proste drewniane, ale świecące od czystości meble, stał na środku ogromny stół, przykryty białym obrusem i przystrojony kwiatami.

Na stole ustawione były trzy olbrzymiej wielkości baby lukrowane na

nierzy, a jednak jak zaczął zawijać, to sam jeden chyba za cały pułk starczył. Ale i inne dzieci nie próżnowały; nawet Irenka, która zwykle w domu grymasiła okropnie przy jedzeniu, teraz zajadała na wyścigi z innemi; zaś Walek praczki Onufrowej włożył odrazu do ust taki ogromny kawał chleba z miodem, że aż się zakrztusił, zaczerwienił się jak indor i wiele z tego było śmiechu.

Boczkosia wciąż tylko nalewała,

krajała, rozdawała i wzdychała przy tym miłosiernie.

— Mój Boże, jakie to chudzieta mizerne, czy to z tego mogą wyrosnąć kiedy „porządne ludzie“.

Bo u Boczkosi porządny człowiek musiał być koniecznie tłusty i czerwony, jak ona sama.

Po śniadaniu dzieci poszły z panną Anną i z panną Zofją oglądać ogród. Szukały szczęścia w pachnących bzach, podziwiały jaśminy całe osypane wonnemi białemi gwiazdkami, raz po raz pochylały się nad klombami lewkonji, fijołków, bratków i wachały delikatnie i ostrożnie... I choć nikt nie groził, nikt nie upominał, nie niszczyły nie tego dnia dzieci w Królestwie Wiosny.

Panna Anna i Zofja ustawiły dzieci parami podług wzrostu i pomaszrowali razem na duży trawnik, na którym można było się bawić.

Panna Anna usiadła w fotelu i patrzyła na dzieci, a panna Zofja sama przyjmowała udział w grach dzieci i niemniej była od dzieci rozbawiona.

Bawiono się w „Farby“, w „Jaworowych ludzi“, i w „Czarnego Luda“ także się bawiono.

Stasiek najlepiej lubił być czarnym ludem. Krzyczał wówczas takim

straszonym głosem, czy boicie się czarnego luda, że aż mała Ninka, najmniejsza z tej gromadki, rozplakała się i zaczęła krzyżeć: „Ja chcem do mamusi“. Ale panna Zofja ją uspokoiła i nie już nie mąciło zabawy. Irenka znowu najlepiej lubiła się bawić w „Farby“, i zawsze wybierała takie trudne barwy, że nikt nie mógł zgadnąć jaką ona była farbą, naprzykład „electric“ albo seldynowa, albo „fraise“. Aż jej panna Zofja powiedziała, żeby takich trudnych barw nie wybierała, bo nie wszystkie dzieci je znają, i już później musiała być poprostu różową farbą, albo zieloną, albo czarną, co ją trochę upakarzało, ale i tak bawiła się lepiej, nizeli kiedykolwiek w życiu.

Zośka znowu najlepiej lubiła się bawić w jaworowych ludzi, bo była bardzo silna i wszystkich pociągała na swoją stronę:

A że czasu było dosyć, więc się bawiono we wszystkie gry po kolei, i nikomu nie stała się krzywda. Po obiedzie, na który podano zsiadłe mleko z kartoflami, takie zsiadłe mleko, jakiego jeszcze nikt w życiu nie jadł i jajecznicę, pomaszrowano parami do lasu.

(d. n.)



B. Hertz: Przygody Magdusi.

XIII.

ŚLEPY NIEDŹWIEDŹ.

Tajemnicza przeszłość niedźwiedzia nie dała Magdusi spokoju. Odpowiedzieć na pytanie mogła tylko Wicia, ale trudno było pokazywać jej ciężko zeszpeconego kalekę.

Wreszcie postanowiła dziewczynka zrobić mu operację—czyli przyszyć brakujące oko. W blaszanej puszcze, co stała wiernie przy maszynie do szycia, znajdowało się dużo rozmaitych guzików. Magdusia wybrała kilka takich, jakich używa się zwykle do bucików i zaczęła choremu przymierzać. Guziki te były rzeczywiście zupełnie podobne do zdrowego oka niedźwiedzia, ale wszystkie o wiele za duże. To były guziki, a tamto był guziczek.

Lecz trudna rada.

Przecież lepiej mieć jedno oko małe, a drugie duże, niż wcale nie mieć drugiego oka.

Dziewczynka znalazła ogromną, grubą igłę, szpulkę czarnych nici: wzięła niedźwiedzia, guzik i przeszła do gabinetu mamy. Tu położyła pacjenta na stole operacyjnym, nawlekła nitkę, a potem przypomniała sobie, że trzeba nieszczęśliwe zwierzę zachłofromować. Zaprosiła Pipę na asystentkę, ale suczka nie zrozumiała widocznie, jaki ją zaszczyt spotyka, bo zamiast po-

ważnie się zachowywać, jak przystało na doktora, zaczęła ciągnąć Magdusie zębami za sukienkę.

Nie było innej rady, tylko trzeba było Pipie za wszelką pomoc podziękować i wydalić z pokoju, a do asystencji zaprosić azalję, którą wczoraj mamie przysłano. Wybór okazał się trafny: azalja zachowywała się bardzo grzecznie.

Dziewczynka przystąpiła więc do operacji.

Choć dreszcz ją przechodził, śmiało wbiła igłę w ślepy oczodół chorego i wyciągnęła instrument aż zza jego ucha. Igła przeszła głowę niedźwiedzia na wylot. Magdusia znów igłę wetknęła—teraz już w tył łba—wyciągnęła ją oczodołem, nanizła guzik na nitkę i szyla dalej. Wkrótce niedźwiedź miał oko.

Ale jakże smutnie z tym okiem wyglądał!

To nic, że było ogromne, daleko większe od drugiego. Najgorsze to, iż wisiało luźno, niby czarna łza i dyndało na wszystkie strony. W dodatku za uchem porobiły się choremu szramy i strupy, bo nitka się posuwała.

Dziewczynka zawinęła biedne zwierzę w chustkę do nosa, okręciła je szalem i, nie pokazując Wici, ułożyła na kanapie—w nadziei, że może rekonwa-

lescencja sama przejdzie. Nieraz przecież słyszała, co mówią doktorzy: silna natura więcej znaczy, niż najlepsze lekarstwo.

Zajrzała po kilku minutach, ale nie się nie poprawiło: oko nie wrosło, a szramy i strupy nie znikły.

Postanowiła więc Magdusia zaprosić na konsylium mamę.

Mama jednak powiedziała, że się na weterynarji nie zna i poradziła oddać niedźwiedzia do kliniki lalek.

Tak się też stało.

Po obiedzie panna Agata ubrała dziewczynkę, obandażowała chorego papierem i poszły.

Klinika wyglądała, jak zwyczajny sklep. Za kontuarem siedział stary doktor w okularach, podniesionych na czoło. W rękę miał stalowe szydło, którym wiercił w piersiach prześlicznej blondynki. Biedaczka podobno zaniemówiła z przerażenia. Obok chorej leżały obciążki, pincety, igły, a dalej jakieś ręce, nogi i dużo rozsypanych oczu, które patrzyły, jak żywe.

W oszklonych szafach pełno było kalek. Najwięcej z nich miało porozbijane głowy, ale były też i inne niedo-

magania. Oto np. jedno młode dziewczątka było zupełnie łyse; krakowiakowi wpadła głowa do brzucha, bo mu się szyja zepsuła; koniowi odpadły dwie nogi zadnie, włókł ogonem po ziemi i wyglądał rozpaczliwie. Pięknej Tyrolce obsunęły się oczy, z których jedno ciekawie wyglądało ustami. Był słoń bez trąby, osiołek bez uszu, pies bez nosa, a krowa taka, z której nic nie zostało, tylko rogi.

Wszystko razem przedstawiało okropny widok.

Doktor obejrzał i palcami oderwał luźno wiszące oko. Ujrawszy to, Magdusia poczuła, że jej się słabo robi. Ale zebrała wszystkie siły i nic nie dała poznać po sobie.

— Na kiedy będzie gotów? — spytała panna Agata.

— Na pojutrze — odpowiedział lekarz.

— A czy napewno wyzdrowieje? — dorzuciła nieśmiało Magdusia.

— Ha! — rzekł doktor — uczynię wszystko, co w mojej mocy.

To powiedziawszy, włożył dwa palce w otwartą ranę blondynki i z piersi jej wydobyl małą harmonijkę.